



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



CZARODZIEJSKI KAPELUSZ.

Nieraz, będąc na przedstawieniu sztuk magicznych nie mogliśmy wyjść z podziwienia, jak ze zwykłego kapelusza da się wyciągnąć taką wielką ilość papieru. Magik miarowym uchem ręki, zakreśla w powietrzu koło, wyrzucając do niekończoności nieustraszonego, wstęgę papierową.

Jak to uczynić?

Bardzo prosto. Należy tylko posiadać pewną wprawę, wrodzoną zręczność i znać tajemnicę.

Oto jak się przedstawia:

Magik chowa pod frak lub kamizelkę wstęgę z papieru niebieskawego, którego używają telegrafisci do drukowania depesz, ściśle uwinętą w krążek; to rzecz najważniejsza. Następnie bierze od kogoś z publiczności kapelusz, takich mniej więcej rozmiarów, ażeby krążek papieru wchodził do wnętrza z jakąś trudnością. Jeżeli kapelusz okaże się za obszernym, należy krążek podtrzymywać palcami. Zwróciwszy otwór kapelusza do swych piersi, magik zręcznie wsuwa węń papier i przygotowania skończone.

— Pański kapelusz musi być za szeroki na pańską głowę, mówi potem, zwracając się do właściciela znajduję w nim bowiem wstęgę papierową, której przeznaczeniem jest zapewne zmniejszyć obwód jego.

Mówiąc to chwyta palcami za koniec wstęgi umieszczonej w środku kapelusza i przewraca ten ostatni do góry dnem, poczem natychmiast papier wywija się na ziemię, niby strumień jakiegoś płynu.

Skoro wstęga zaczyna wypadać wolniej, co następuje zwykle gdy zostaje jej tylko trzecia część, magik przewraca znów kapelusz dnem na dół, tak jednak żeby nie pokazać wnętrza i trzymając go lewą ręką, prawą chwyta za wstęgę i zakreśla nią kapryśną linię; w ten sposób papier wysuwa się, tworząc pierścienie ładnie wijące się w powietrzu i układające się w wielki stos na podłodze dokoła sztukmistrza. Żarcik ten można zakończyć bardzo ciekawie: trzeba tylko mieć pod deską stołu, przywiązanego do niej i skrepowanego gołębia, którego chwyta się zręcznie mimochodem i wsuwa w stos papieru, leżącego na ziemi.

— Ciekawym czy to wszystko zmieści się napowrót do kapelusza powiada znów magik, kładąc węń wraz z częścią wstęgi wysnutej i gołębia.

— Ach! ale tu jest coś jeszcze! dodaje niby z podziwieniem.

W tej chwili z wnętrza próżnego jakoby kapelusza wylatuje żywy gołąbek, a widzowie nie mogą pojąć, skąd on się tam wziął tak niespodzianie.

W. U.

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Gromski zapalał się; fiolkowe jego oczy rzucały iskry; takie same paliły się w źrenicach słuchającego Ford'a. Na dźwięk słowa: „biegunów” kapitan przestał być panem siebie, rzucił się ku inżynierowi i pochwyił w obie swe ręce jego dłonie.

— Więc i pan marzysz o tem, i pan? — rzekł drżącym głosem.

— Pracowałem, taki a nie inny cel mając na widoku. Nauka i dobro ludzkości, kapitanie.

W tej chwili James, który dotąd stał o parę kroków opodal, podszedł do inżyniera i, ukląkłszy przed nim, począł mu okrywać ręce pocałunkami uwielbienia.

— Pan z nami... do krośset! Ja to czuję, niech mnie... Pan z nami do bieguna...

I marynarz rozbeczał się, jak dzieciak. Gromski zrozumiał. Z powagą podniósł James'a i bystro spojrział w oczy kapitana.

— Więc pan chce odbyć podróż do bieguna balonem? — zagadnął.

Ford kiwnął energicznie głową.

Gromski założył ręce w tył i począł się przechadzać wielkimi krokami.

— Tak, to nie jest nieprawdopodobnem: może być — mówił do siebie jakby — wiatry, zresztą machina... — Ale — dodał, zatrzymując się przed kapitanem, — trzeba, żeby ten, kto przedsięwzięcie taką szaloną podróż, był gotów na wszystko...

Ford uśmiechnął się w milczeniu.

— Nawet na śmierć kapitanie.

— Zaglądałem jej nieraz w oczy podczas moich czterech wypraw, inżynierze. James również.

— Prawdopodobieństwo tego, że się dotrze aż do bieguna jest bardzo małe...

— Tak zawsze było do dzisiaj; a jednak próbują jeszcze.

— Pamiętaj pan, że balon mój może walczyć tylko z umiarkowanymi prądami powietrznymi i że machina jego funkcyjonne zaledwie do 20 godzin.

— To nic; wiatry nas zaniosą.

— Możemy zginąć w morzu.

— Wszystko jedno gdzie, inżynierze; jedziemy! chyba, że nie dasz nam swego statku.

Gromski pocierał dłonią czoło, na policzki wystąpił mu rumieniec.

— A jeżeli bym sam z wami pojechał? — zagadnął nagle.

— To podzielilibyśmy się sławą, lub umarli razem.

Inżynier nic nie mówiąc, wyciągnął rękę i uściśnął serdecznie kapitana, a potem James'a.

— Jesteście dzielni ludzie — rzekł wzruszony. — Jadę, z wami do bieguna.

III.

JAK WYGLĄDA CUDO МЕСПАНКИ.

James nie posiadał się z radości na myśl, że niebawem przy znów odwieczne lody podbiegunowe.

— Jaka szkoda, że to już październik, — westchnął; — moglibyśmy wyruszyć za parę dni.

Teraz tam zima zaczęła się na dobre i rtęć pewnie marznie.

— Tam? Jakto, chyba mówisz o biegunie północnym? — zagadnął inżynier.

— Ależ tak, ma się rozumieć. Nie można podróżować teraz w tamtych okolicach nawet na pańskim statku, choć dla niego żadne góry lodowe nie istnieją; zmarzlibyśmy odrazu.

— Masz rację.

— Więc musimy czekać co najmniej ośm miesięcy. Tam, do licha! nie wytrzymam chyba.

— Jeżeli ci tak pilno, — rzekł z uśmiechem inżynier — to możemy jechać do bieguna zaraz nawet.

— A przecież pan przed chwilą powiedział, że zmarzlibyśmy odrazu.

— Zapominasz, że ziemia ma dwa bieguny. Zgadzałem się na to, że podróż do północnego jest niemożliwą z powodu zimy; ale któż nam broń jechać do bieguna południowego?

Wiadomo ci przecież, że na drugiej półkuli pory roku przypadają odwrotnie, niż tutaj. Obecnie panuje tam wiosna; najlepszy to czas do podróży takiej.

James słuchał tego wszystkiego z rozwartemi szeroko ustami; zacny marynarz zapominał zupełnie, jak się trafnie wyraził inżynier, że ziemia ma dwa bieguny; myślał ciągle i wyłącznie o biegunie północnym, i do niego tylko, jak dotychczas pragnął dotrzeć.

— Do bieguna południowego? — bąknął — a czy tam nikt jeszcze nie jeździł?

— Próbowali, mój drogi, lecz biegun południowy, jak się przekonano, jest jeszcze bardziej niedostępny, aniżeli północny; leży bowiem zdala od zamieszkałych okolic, a co ważniejsza w pośrodku nieznanego, wielkiego Łądu Południowego. Podług mnie, zwyczajną drogą biegun południowy odkryto by zaledwie w sto lat po północnym.

— Więc pan powiada, że trudniej go odkryć? Jeżeli tak, to spróbujemy zdaje mi się, że pańskiemu balonowi wszystko jedno nad czem będzie przelatywał.

— Więc pan na seryo podaje ten projekt? — przerwał kapitan, wtrącając się do rozmowy.

— Ależ jak najpoważniej — odparł Gromski; — udając się do bieguna południowego zaraz, nie będziemy potrzebowali czekać. Im prędzej tem lepiej.

— Ależ trudności będą tu daleko większe. Czy się pan nie lękaasz długiej podróży przez ocean, albo raczej ponad oceanem?

Można wpaść weń, a wtedy?

— Nie przewiduję tego; balon mój, jak pan wiesz, może utrzymać dostateczną ilość gazu przez trzy tygodnie. Zresztą będziemy przelatywali prawdopodobnie nad Ziemią Południową.

Wzniesiemy się z przylądka Horn w południowej Ameryce; stamtąd wiatr zanieś nas prawie do bieguna.

— Jaki wiatr?

W istocie, kapitan nie domyślał się, na jaki prąd liczył Gromski; wiedział tylko, że w podbiegunowych regionach przez większą część roku panują chłodne wiatry, wiejące ku równikowi.

— Ależ ja nie liczę na zimny wiatr, — rzekł Gromski — sądzę tylko, że w górze, ponad nim, musi płynąć ku biegunowi ciepły prąd od równika,

Przecie miejsce zimnego powietrza nie może pozostać niezajętym?

— Prawda, nie pomyślałem o tem, a jednak tak być musi, pan nie mylisz się! Brawo, więc ciepły prąd zanieś nas do bieguna!?

— A przynajmniej w tamte okolice; do samego bieguna dotrzemy przy pomocy naszej machiny.

— Przyznam ci się, inżynierze, że jestem mocno ciekaw dowiedzieć się czegoś bliższego o twym balonie. Jak zdo-

Łałęś zbudować lekką parową maszynę, będącą przytem dość silną, aby nadać taką szybkość aerostatowi? Czy elektryczność wydała się panu nieodpowiednią?

— Ponieważ masz pan niebawem odbyć ze mną dłuższą podróż, — rzekł Gromski — muszę przeto zaznajomić pana bliżej z moim statkiem. Zrobimy małą wycieczkę nadpowietrzną; sami zobaczycie, jakim jest balon i jak się zachowuje.

Zresztą, musicie go znać, bo będziecie mi pomagali nim kierować.

Gromski wydał stosowne rozkazy i, podczas gdy jego ludzie czynili niezbędne przygotowania, on objaśniał swym towarzyszom zasady żeglugi powietrznej.

— Ścisłe rzeczy biorąc — mówił — pomiędzy statkiem podwodnym a balonem, poruszonym śrubą jak ten, istnieje tylko różnica co do wagi, odpowiadająca różnicy ciężaru gątkowego wody i powietrza. Aerostat musi posiadać motor, podobnie jak statek, aby nie być igraszką prądów atmosferycznych; może on z niemi walczyć skutecznie w takim tylko razie, jeżeli szybkość jego własna, czyli szybkość w spokojnym powietrzu, jest większą od szybkości wiatru; w tym ostatnim wypadku balon może posuwać się w kierunku przeciwnym kierunkowi prądu, jak również we wszystkich innych, czyli inaczej mówiąc, można nim kierować. Właściwie zadanie to rozwiązała panowie Renard i Krebs w 1884 roku; udało im się bowiem powrócić ze swymi elektrycznym balonem do punktu, z którego wyruszyli; odtąd chodziło tylko o to, ażeby balony zawsze można było kierować tam, gdzie się chce. Dlatego powinny one posiadać taką szybkość własną, któraby im pozwalała walczyć zwycięsko z wiatrami, panującymi przez większą część roku. Jak panu wiadomo, aerostat Renard'a i Krebs'a posiadał prędkość 7 metrów na sekundę; jest ona niedostateczną, potrzeba conajmniej szybkości 15 metrów, aby niezależnie od wiatru posuwać się w żądanym kierunku.

W tem leży jądro kwestyi. Nie znano wszakże dostatecznie lekkiego i silnego motoru, któryby mógł nadać taką znaczną szybkość aerostatowi. Renard używał elektryczności; silnie tego rodzaju są bardzo dogodnie w użyciu; wymagają jednak ciężkich i kłopotliwych bateryj, które funkcjonują krótko i drogo.

Ostatecznie zatem, motor elektryczny jest stosunkowo za ciężki. Ten, który był użyty do poruszania „Francyi” dawał 5 koni siły czynnej, a ważył, wraz ze śrubą i transmisją *) 600 klg. Te względy skłoniły mnie do zwrócenia się za przykładem Henryka Giffard'a do pary.

Niech to panów nie dziwi. Moja maszyna mało ma wspólnego ze zwyczajnymi. Główną jej zaletą, jak powiedziałem, jest wyjątkowa lekkość.

— Więc pański kocioł?

— Ależ panie, — przerwał uśmiechając się inżynier — moja maszyna wcale niema kotła; jego miejsce zastępuje ta oto spłaszczona rurka. Jak pan widzisz, jest ona zwinęta spiralnie i składa się z pięciu części, długość których wynosi razem 200 metrów, objętość zaś zaledwie 25 cm. sześciennych, bo ścianki stykają się niemal z sobą. Generator taki słusznie nazwać można błyskawicznym, bo para wywiązuje się w nim momentalnie, dzięki olbrzymiej powierzchni ogrzewalnej; wody nie potrzeba brać dużo, najwięcej 20 kg., bo para, wykonawszy w maszynie pracę mechaniczną, nie ulatuje w powietrze, lecz skrapla się w dużym kondensatorze, i potem znowu przechodzi automatycznie, za każdym obrotem śruby, do generatora.

Łatwo pojąć, że taki kocioł wcale nie zagraża niebezpieczeństwem wybuchu, bo pary nigdy w nim niema wiele, a woda, dzięki włoskowatości rurki, nie może przejść w stan sferoidalny.

— Bravo, inżynierze! — zawołał Ford, klaszcząc w dłonie; — zasada, podług której zbudowałeś swój kocioł, jest cu-

downie prostą, a jednak tak długo trzeba było czekać na to ulepszenie.

Ale jakiego pan używasz opalu?

— Benzyny; patrz pan, na piecyku stoi rezerwoar, mieszczący w sobie ten węglowodor; produkty spalania przechodzą rurkami wewnątrz zbiornika, a ponieważ temperatura ich wynosi około 120°, przeto mogą jeszcze doprowadzić benzynę do punktu wrzenia. Para jej odpływa specjalną rurką do pieca, mieszając się w drodze z powietrzem i, zupełnie jak w lampce Bunzena, płonie bez dymu.

— Świetnie! Nie marnujesz pan ani odrobiny opalu na darmo! Czy także zbudowałeś pan jakiś nowy typ maszyny?

— Ależ musiałem, panie; te, które istnieją, są dla mnie za ciężkie. Najodpowiedniejszą wydała mi się maszyna rotacyjna, która funkcjonuje regularnie i bez koła rozpędowego.

— Gdzież ona jest? — zagadnął James, zaglądając do wnętrza długiej łódki bambusowej, pokrytej jedwabiem.

— Oto tu — rzekł inżynier, wskazując na kulę aluminiową o metrowej średnicy.

— Więc ta kula ma być maszyną?! — wykrzyknął pcczcziwy sternik, wytrzeszczając oczy. — Jak żyję nie widziałem podobnej.

— Tak, i bardzo lekką; wewnątrz tej kuli znajduje się kłapa, którą para wprawia w szybki ruch obrotowy. Ruch ten, za pomocą transmisji, udziela się ścieżce umieszczonej na przodzie łódki.

— Więc ileż razem waży pański model? — zagadnął Ford.

— Jest on stosunkowo pięć razy lżejszy od modelu użytej przez Giffard'a w 1856 roku; waga jego wynosi zaledwie 10 kg. na siłę jednego konia.

— Rozumiem, taka lekka maszyna może mieć olbrzymią siłę i nadać balonowi wyjątkową szybkość.

— Do tego samego rezultatu możnaby jednak dojść i inną drogą — rzekł Gromski — niekoniecznie trzeba budować lekkie motory.

— Nie pojmuję, inżynierze! — zawołał Ford — gdyby tak było, dawnoby już chyba skorzystano z tego.

— To nie tak łatwo, kapitanie: wiesz pan, że objętość każdej bryły rośnie proporcjonalnie do trzeciej potęgi jej wymiarów, a powierzchnia — proporcjonalnie do kwadratu tychże. Balon o promieniu dwa razy większym będzie, przy danej szybkości, znosił opór cztery razy większy, ale za to może dźwigać ciężar ósmokrotnie znaczniejszy, bo siła jego wzrosła o tyleż wzrosła.

(d. c. n.)

Z DZIEJÓW KRÓLA MIGDAŁOWEGO.

Gwarno i wesoło było we dworze w Wólce, dokąd zjechało się sąsiedztwo na wieczór Trzech Króli. Tadzio przywiózł ze szkół doskonałą cenzurę; dla jego też głównie przyjemności państwo Warscy u siebie urządzili zabawę. Większą też część towarzystwa składali młodzi chłopcy i młodzietki panienki, więc śmiechu, wesołości, ruchu, ożywienia oraz ochoty do zabawy w tem zebraniu nie brakowało.

Projektowano różne gry, tańce, lecz te dopiero miały nastąpić później, wówczas kiedy według dorocznego zwyczaju los migdałowego króla wybierze. Na wielkiej staroświeckiej srebrnej tacy wniesiono drożdżowy placek, wysoki, rumiany, misternie floresami z białego lukru przybrany, a tylko jeden migdał zawierający w swem wnętrzu.

— Komu się też ten migdał dostanie?... komu? — szeptało z zaciekawieniem.

Kawałek po kawałku placek znikał z tacy; wzięte kawałki przełamywano pośpiesznie, wiele rozjaśnionych poprzednio twarzyczek powlokła przelotna chmurka rozczerowania;

*) Transmisją nazywają koła zębate lub pasy służące do przenoszenia siły motorów na maszynie.

wreszcie najmniej okazały kawałek placka wziął Tadzio Warski, obejrzał go, rozłamał i... zarumienił się. Wszyscy obecni odgadli, że on został wybrańcem trafu...

Otoczyli go... rzeczywiście, w kawałku pachnącego, żółciutkiego ciasta, które Tadzio trzymał w ręce, tkwił ciemny, wielki migdał!

— Niech żyje najjaśniejszy pan Tadeusz! król nasz miłościwy! Wiwat! — podniosły się głosy.

Pani Warska zagrała na fortepianie koronacyjny marsz z Proroka, Meyerbera, śliczna panienka w błękitnej sukience podała Tadziovi godło jego monarchalnej dostojności: złożone berło i koronę z hyacyntów białych uwita. Dorosli pili jego zdrowie starym węgryzmem, chłopcy lekkim winem francuskim, panienki limoniadą i wodą z sokiem a dwaj najstarsi chłopcy, migdałowemu królowi w imieniu poddanych składali hołd i przyrzeczenie, że gotowi są spełnić wszystko, cokolwiek najjaśniejszy pan polecić laskawie raczy.

— Spełnicie wszystko co rozkażę?... Tak! rozumie się, to bardzo naturalne — rzekł Tadzio i zastanowił się.

— Staraj się, aby nigdy żadna twoja czynność, nie była bezcelowa, bezmyślna. Staraj się, aby każdy czyn twój, nawet każda twoja zabawa i rozrywka mogła stać się czyjąś w danym razie przyjemnością lub pożytkiem.

Ta rada ojca przemknęła Tadziovi przez głowę i rzekł więc:

— Otóż chcę i zalecam i jako król rozkazuje, aby wszyscy moi poddani w ciągu tego roku mieli same tylko piątki w cenzurach, aby wszyscy otrzymali promocje i nagrody, aby zyskali zadowolenie rodziców i pochwały nauczycieli.

— Stanie się według twej woli, najjaśniejszy panie! — odpowiedziano chórem, a jakiś głosik, widocznie głosik swawolnika odezwał się z kątką: — chociaż nie łatwy to rozkaz do spełnienia.

— Tem większą, też będzie zasługa, kto go spełni — z powagą rzekł Tadzio — drugi rozkaz... zaczekajcie chwilkę, moi mili — spieszenie dodał i wyszedł z pokoju. Powrócił niebawem, prowadząc za rękę jasnowłosego chłopczykę, w białym kitelku, z ponsowem naszyciem, w białej koszulce zadzierzgniętej na czerwoną wstążeczkę pod szyją.

Był to Staszek Poręba syn niedawno zmarłych, ubogich rodziców. Oburącz niósł skrzypeczki i przytulał je do piersi. Od kilku tygodni panowała odra w chacie Macieja Kosmaka opiekuna sieroty i z tej przyczyny pani Warska wzięła chłopca do dworu.

Wprowadzony do rześnistej oświetlonej i pełnej gości sali, Staszek był olśniony i obecnością obcych ludzi onieśmielony zupełnie. Gdy przecież Tadzio ucałował jego jasną główkę i szepnął mu: zagraj Stachu, zagraj jak mnie kochasz! — nieśmiałość chłopczyka wnet znikła, uczył się swobodnym, niby skowronek wzbijający się pod obłoki i zaczął grać śmiało, jak grywać zwykły na wzgórzach i polach swe melodye, które poetyczna jego duszyczka czerpała z otaczającej go przyrody, które szeptały mu ptaki, wietrzyki poranne, sowy podczas nocy, bór szumiący i trzcina nad rzeką, burza przeświecana błyskawicami i kościelne dzwony wzywające ludzi na nabożeństwo.

— Ten chłopczyk gra prze cudownie! — wołano ze wszystkich stron z zachwytem, kiedy wreszcie smyczek wypadł ze zmęczonych rąk Staszka.

— I gdyby urodził się synem zamożnych rodziców — rzekł Tadzio — w mieście przynajmniej nazwano by go *eu-downem dzieckiem*. Tu jest pastuszkim i talent jego zinnarnej, jeśli się ktoś nim nie zaopiekuje i nie postara się o to, aby mu dać odpowiednie wykształcenie... Otóż właśnie chcę, abym ja, to jest właściwie chcę abyśmy tę opiekę wzięli na się

król miłościwy powziął zamiar znakomity! przepyszny! wstyd temu kłoby się z naszego kółka usunął.

— Tacy się nie znajdują, o tem każdy jest przekonany. Gdy Staszek będzie starszy i nauczy się już czegoś, sam zapracuje na siebie. Jestem pewien, gdyby nam kiedy funduszów zabrakło, rodzice nasi dołożą potroszę, o to ich prosić będzie-

Staszek wyuczył się doskonale czytać i pisać, a książki zarówno pokochał jak muzykę. Wyobrażał sobie, że poza granicami Wólki istnieje świat długi i szeroki, ogromny, wszelako nie przypuszczał nawet, aby ten świat był piękniejszym od jego rodzinnej wioski, a nawet aby był równie pięknym jak Wólka. To też, jakkolwiek bardzo pragnął się uczyć, zakrawiło się przecież jego małe serduszko na myśl, że tę swoją ukochaną, tę swoją piękną Wólkę ma opuścić.

— Wrócę tu, wrócę — pomyślał wreszcie — skoro nauczę się grać ślicznie i różnych rzeczy. Wrócę i pozostanę nazawsze — i z tą nadzieją nabrał otuchy, czuł się spokojnym i silnym, chociaż miał zaledwie lat dziesięć.

W kilkanaście dni po Trzech Królach, pan Warski syna i Staszka Porębę odwiózł do Warszawy.

Sprawdziła się przepowiednia Tadeusza Warskiego: po kilku latach pobytu w mieście, Staszek Poręba, dając lekcje różnych przedmiotów, których go uczono, mógł już coś sam na siebie zarobić. Żył zawsze bardzo skromnie, prawie ubogo; nie wiele też kosztował swoich dobroczyńców.

Wakacje zwykle przepędzał w domu jednego z przyjaznych sobie a mniej zdolnych kolegów, któremu lekcję udzielał. Podczas swoich studyów nie był w Wólce ani razu.

Dopiero po ośmiu latach, młodzieńcem już do rodzinnej wioski powrócił, przynosząc z sobą świadectwo z konserwatorium najświetniejszego ukończonych kursów, umysł bogaty w zasób naukowych wiadomości, dawną dziecięcą swą pobożność, serce niewinne i nieskalane, miłość wszelkiego piękna i dobra i wiarę w potęgę talentu i pracy wytrwałej, niezmordowanej, nieustannej, wszelkie przeszkody i zawady zwyciężającej.

— O czem tak dumasz Staszku? — zapytał Tadeusz, dotykając ramienia Poręby, który późnym już wieczorem, po przybyciu do Wólki siedział w otwartym oknie pokoju, skąd widok był na wioskę w tej chwili blaskiem księżycowego światła oblaną, w spokoju i ciszy snu pograżoną. — Czy myślisz o Lipsku, dokąd dla dalszych studyów muzycznych zamierzasz udać się po wakacjach?

— O! nie, mój królu! — odpowiedział Staś, który najczęściej nazywał przyjaciela, swoim „królem” — myśl moja teraz nie pomknęła za granicę, lecz gości w Wólce... Przypominam sobie dziecięce marzenia, któremi niegdyś snuł tutaj, a które dałyby się streścić w tych słowach poety:

Wezmę ja skrzyplki
Z zielonej lipki,
Ze złotemi strunami.
I na nich grając
Ludziom śpiewając,
Będę chodził po ziemi...

— Małe chłopię marzyło o rozkoszy grywania na hucwałę Bożą i uciechę ludzi dobrych, albo nieszczęśliwych... ta rozkosz wymarzona, stała się dla mnie dostępną, dzięki tobie mój drogi.

— O! nie, powiedz raczej Stasiu, dzięki Opatrzności, której ja byłem narzędziem, a która opiekuńczo nad tobą sierotą, czuwała, jak czuwa nad tyłu innymi. Bo widzisz mój przyjacielu: miliony wieśniaków przychodzą na świat, rosną,



Jaselka przedstawiane w warszawskich przytułkach sierot.

bie. Niech każdy z was wyrzeknie się fraszek i łakoci, a za pieniądze otrzymane od rodziców waszych, za pieniądze, które zwykle marnujecie na niepotrzebne wydatki, możemy Staszka wykierować na artystę. Ja składam na ten cel wszystkie moje oszczędności. Kto trzyma ze mną?

— Wszyscy! wszyscy! bez wyjątku! — jednocześnie zawołała wszystka młodzież zebrana w salonie Wólki. — Nasz

my. A więc, po wakacjach świątecznych zabieramy Staszka do Warszawy. To już rzecz ułożona, nieodwołalna, wszak prawda? Teraz widzę, że mama zasiada do fortepianu, co jest hasłem rozpoczęcia tańców — rzekł Tadzio, skłonił się przed ową śliczną dziewczynką, która mu koronę z hyacyntów białych wręczyła i poprowadził ją do walca, którego pani Warska zagrała właśnie.

stają się dojrzałymi ludźmi, spełniają uczciwie swoje powołanie, pracując około roli, umierają wreszcie... i nie pozostaje po nich nic, nic zupełnie jak po owym liściu, który wiatr jesienny z drzewa oderwie, poniesie i rzuci kto wie gdzie, za przepaści bez żadnego śladu... Lecz niekiedy tu i owdzie, w siole rodzi się dziecię wyższym obdarzone umysłem, dziecię, iskrę talentu w swej duszy mające. Dziecię takie nieświadomie rwie się do światła... Często bardzo, najczęściej, usiłowania rodziny bywają bezowocne, a pragnienia dziecka nieziszczone... Wszakże czasem talent zwycięży przeszkodę, aby się rozwinąć i świecić. Szczęśliwymi nazwać trzeba tych, mój drogi Stasiu, którym nadarzyła się pomyślna sposobność wydobycia go na jaw i podania mu pomocnej ręki.

Halina Tokarzewska.

JASEŁKA I SZOPKI.

W średnich wiekach, pomiędzy XII a XIII stuleciem, powstał zwyczaj przedstawiania w obrazach i scenach takich wydarzeń z historii św., których pamiątkę Kościół katolicki w rocznicach świętych obchodzi. Dla przedstawienia w wielkim tygodniu Męki Pańskiej, zawiązało się w XIII wieku w Rzymie towarzystwo zwane *Gonfalvo*. We Włoszech też, w Assyżu, miasteczku w prowincji Perugii, na stoku Apenin w tejże samej epoce, podczas świąt Bożego Narodzenia poraz pierwszy urządzono *jasełka*, mniej więcej tak samo jak urządza je do dziś dnia: wśród kwiatów, świateł i żywej zieleni w żłobku spoczywa figurka mająca przedstawiać Dzieciątko Jezus, które otaczają figury wyobrażające Najświętszą Pannę, św. Józefa, pastuszków przybyłych z pokłonem do Dzieciątko, a w górze unosi się anioł, który zwiastował radosną nowinę że w „Betleem, ubogiem mieście” narodził się Zbawiciel świata.

Przykład Włoch naśladowały inne kraje, urządzając *jasełka*.

W XVII w. we Francji powstał obyczaj, że podczas świąt Bożego Narodzenia ze śpiewami i muzyką obnoszono *szopki*. U nas zajmowali się tem ubodzy uczniowie szkółek wiejskich, czyli tak zwani *żacy*. W pośrodku wielkiego pudła, trzech ścianach i z wieżyczkami, urządzili *żacy* żłobek, przy którym stały figurki wyobrażające Najświętszą Pannę i świętego Józefa; a także stały wół i osielek. W żłobku na sianie leżąca lalka miała wyobrażać Dzieciątko Jezus. Przeróżne figurki występowały na scenie szopki. Następnie ukazywała się panienka w weselnym stroju. Stanąwszy przed widzami nuciła taką piosenkę:

Sieroto biedna!
Tyś sama jedna,
A dzisiaj twoje wesele;
Wśród dużej chatki,
Ojca, ni matki
Przyjaciół mało, krewnych niewiele.
W daleką krainę
Po mą rodzinę
Poszłę kukulkę żalosań,
Poszłę do nieba,
Ze ojca trzeba,
Słowik wyśpiewa to głośno.
Z dalekiej krainy
Niema rodziny
I kukulka nie przybywa.
Słowik nie wrócił,
Co w niebo nucił
A ojciec tak się odzywa:
„Wstać cię pocieszyc,
Ż radą pośpieszyć
Chciałbym, o miła córeczko!
Lecz mi mogiła
Drzwi przywaliła,
Zakryła i okienczko”.

Najświętsza Panna i św. Józef błogosławili na gody weselne idącą sierotę.

Później kolejno występowali: góral z tańczącym niedźwiedziem, wędrowny rzemieślnik uskarżający się na swoją tułaczczą dolę, czarownica, która chciała robić masło, lecz nie mogła tego dokonać, gdyż dyabeł jej psocił i wyjadał śmietanę z maślnicy; krzywdziciel wdów i sierot, chciwy bogacz i skąpiec, którego dyabli żywem z duszą i ciałem porywali do piekła. Wreszcie na scenkę wkraczał król Herod z przewrotnym zausznikiem swoim. Herod, zły i pyszny, berłem swem groził całemu światu, aż nagle zjawiała się śmierć, która poskramiała pychę i złość Heroda ścinając mu głowę kosą. Tenże sam los przypadał w udziale przewrotnemu doradcy króla Heroda.

Ukryci żacy poruszali występujące w szopce figurki i prowadzili za nie dialogi, wzbudzające szczerą wesołość widzów i prawdziwe ogólne zadowolenie. To też kiedy na końcu przedstawienia ukazywała się figurka dziadka z siwiuteńką brodą i torbeczką, hojnie do tej torbeczki sypały się datki, a potem i żacy i widzowie, przy akompaniamencie skrzypiec i basetli społem śpiewali kolendę:

W żłobie leży, któż pobieży
Kolendować małemu
Jezusowi, Chrystusowi
Dziś do nas zesłanemu?
Pastuszkowie przybywajcie,
Jemu wdzięcznie przygrywajcie
Jako Panu naszemu.
Najprzód tedy, niechaj wszędy
Zabrzmi świat z wesołości
Że posłany, nam jest dany
Emanuel w niskości.
Jego tedy przywitajmy
Z aniołami zaśpiewajmy:
Chwała na wysokości!

Dawniej tylko od św. Szczepana do Matki Boskiej Gromnicznej, to jest do 2 lutego chodzili żacy z szopkami — dziś obnoszą je przez całe zapusty, a jakie są współczesne szopki opowiadać nie trzeba, gdyż niewątpliwie wszyscy czytelnicy Wieczorów w mieście i na wsi mieszkający, *jasełka* i szopki widzieli nie raz jeden.

PO WŁASNYCH SIŁACH.

POWIEŚĆ

p. *Bronisławę Porawską.*

(Dalszy ciąg).

Niejednokrotnie głodni spać się położyli, ale chłopiec i wtedy nie narzekał, a im większy groził im niedostatek, tem więcej wzmagała się w dziecku chęć do pracy, i z tym większym zabierał się do niej zapalem.

I od trzeciej klasy wprzął się do pracy, która mu przy zajęciach domowych, ani jednej chwili swobodnej nie zostawiała wśród dnia całego.

Wystarał się za protekcją kolegi, którego ojciec był woźnym, że dostał do nauki dwóch chłopczyków stolarza, który mu płacił dwa ruble miesięcznie. Wielka była radość rodziców gdy chłopcy w krótkim czasie czytać zaczęli, za co młody nauczyciel zyskał ogromne łaski, szczególnie u matki, że z malcami tak grzecznie wychodził.

Pracował biedny Jurek bez wytchnienia, ale co to była za radość, gdy pierwsze zarobione dwa ruble oddać mógł babce!

Niebawem dowiedział się od stróża dla którego był zawsze grzecznym, że mieszkający w tym samym domu staruszek,

emeryt, szuka kogoś płynnie i dobrze czytającego, aby mu codziennie godzinę czytał gazety.

Jerzy w tej chwili poszedł ze stróżem sam, a złożony egzamin z czytania, przyjęty został, za wynagrodzeniem dwóch rubli także miesięcznie. Bajecznie była to cena mała, ale emeryt był niebogaty, Jurek chciwy zarobku, a że to w tym samym domu, i to mu było dogodnie.

Podołałby wszystkiemu z łatwością, gdyby nie to, że dla siebie musiał biegać do kolegów, aby z ich książek nauczyć lekcji, lub wypisać takową, gdy to było możebnem.

Lecz chłopiec się nie zniechęcał, rąk nie opuszczał, a im więcej miał trudności, z tem większą gorliwością zabierał się do pracy.

Czasem pocichutku sobie westchnął i potarł czuprynę, gdy babka nie widziała, bo dla niej zawsze miał twarz swobodną i wesołą, jakby go nic nie kosztowała podjęta praca i trudy jakie ponosił.

I widzieliśmy go jak i teraz wesoło biegł do pokoiku skromnie, a nawet ubogo umeblowanego, nie dając poznać ani na chwilę, że zziąbnął bardzo, wracając z korepetycyi w ubraniu niedostatecznie osłaniającem go od zimna.

Wybiła ósma, Jurek mimo że zatopiony w nauce, usłyszał ją dobrze, złożył książkę i szybko włożył mundur.

To jego godzina czytania emerytowi, który położył się już, gdyż lubił w łóżku słuchać czytania, przy którym bywało usnął niekiedy, co jednak nie przeszkadzało sumiennemu chłopcu czytać wszystko po kolei, do przeznaczonego czasu.

— Zameczysz się moje dziecko — mawiała babka.

— E, babuniu, byłoby źle żebym już ustawał, początek to dopiero pracy — odpowiadał chłopiec — godzinka zejdzie, a i ja przy tej sposobności korzystam, za co mi jeszcze płacą.

— Co to za płaca! — mruknęła babka wzruszając ramionami.

— Ba, dobre i to: „ziarnko do ziarnka” a pieniążki idą — mówił Jurek wesoło — do widzenia babuniu, za godzinkę wróć.

I wybiegł, a p. Grzymalina zamknąwszy drzwi za nim, ukłękła na klęczniku, jedynym podobno zabytku lepszych czasów, i w gorącej pogrążyła się modlitwie.

WAKACYE.

Rok szkolny zbliżał się ku końcowi, Jurek bez obawy oczekiwał egzaminów i popisu; całoroczna, sumienna praca, pozostawiła w jego umyśle swe plony.

Dnia jednego, gdy powrócił z wieczornego czytania od emeryta, był jakiś zamyślony i smutny, aż go babka o powód spytała.

— E, to nic babuniu — odrzekł niepewnym głosem.

— Już ty mi tego nie mów, znam cię dobrze i widzę że coś taisez przedemną. Powiedz moje dziecko, wiesz że my dwoje to jedno — nalegała staruszka zaniepokojona widocznym zakłopotaniem chłopca.

Jurek się uśmiechnął.

— Jak bo też babunia odgadnie zawsze gdy mam coś nowego na myśli — rzekł, układając książki — muszę więc powiedzieć, choć chciałem zostawić to przy sobie. Oto pan N. zrobił mi dziś propozycję, abym na wakacje pojechał na wieś do jego siostrzenicy, jako korepetytor do dwóch małych chłopczków, którzy będą zdawali egzamin do wstępnej gimnazjalnej.

P. Grzymalina poruszyła się niespokojnie na krześle; myśl rozłączenia z wnukiem, który się od niej nie oddalał nigdy dłużej jak na kilka godzin, zrobiła na niej przykre bardzo wrażenie. Nie okazała tego jednak po sobie i rzekła:

— I cóż odpowiedziałeś?

— Bez ciebie babuniu nic postanowić nie mogłem, to pierwsze, a drugie, że przecież ciebie samej zostawić tu nie mogę — odpowiedział Jurek spokojnie.

— Mój Jurku, propozycja to dobra — odezwała się

p. Grzymalina po chwilowem milczeniu — bo grosz dochodu, pobyt na wsi, może na twe zdrowie wpłynąć bardzo dobrze.

— Zdrow jestem babuniu.

— Zdrow dzięki Bogu, ale szczupły i blady, nadto pracujesz moje dziecko i mało używasz ruchu.

— Już to, to chyba nie babciu, codziennie robię niezły kurs drogi i ruchu mi nie brak.

— Nie jest to jednak to, czego dla zdrowia potrzeba, i dlatego mój Jurku, jestem bardzo za tem, abyś skorzystał z propozycyi dobrego pana N. Już ja tu sobie dam radę, nie martw się o mnie pocziwie dziecko.

— Ależ babuniu...

— Nie mów chłopcze, ani słowa, pojedziesz, cieszę się że odetchniesz świeżem powietrzem, to było mojem pragnieniem oddawna. Na czas twej nieobecności, wezmę córkę stróża, roztropna to i dobra dziewczynka, a myśl że ty, moje dziecko, użyjesz trochę swobody, ukoi moje tęsknotę za tobą.

— Prawda babuniu, że Julka dobra i roztropna, ale nie myślałem że mię zastąpić potrafi — rzekł Jurek z odcieniem żalu — będę niespokojny jednak.

P. Grzymalina już, już łzy miała pod powiekami, ale powstrzymała je siłą, aby chłopcu nie stawiać przeszkody w korzystnym pod każdym względem projekcie.

Umowa więc przyszła do skutku, i Jurek przeszedłszy z nagrodą do czwartej klasy, w kilka dni po popisie żegnany serdecznie przez sędziwą babkę, wzruszony więcej aniżeli to chciał okazać, wsiadł na bryczkę, a raz jeszcze spojrzawszy na babkę, która go wyprowadziła aż przed bramę, z nieodstępną już od tej chwili Julką, odjechał z żalem w sercu, i już z tęsknotą do tej jedynej drogiej istoty, jaką miał na świecie.

P. Grzymalina wróciwszy do swego pustego teraz pokoiku nie tamowała lez długo powstrzymywanych, a Jurek smutny i zamyślony jechał między obcych i nieznanych ludzi, pierwszy raz zostawiony sam sobie, sam odpowiedzialny za siebie, poczuł że rozpoczynał życie o własnych siłach.

Gdy wyjechał za rogatki i pozostawił za sobą gwar miasta, gdy ujrzał się wśród pól szerokich pokrytych zbożem, gdy przed oczami ukazał mu się zdalea ciemny pas lasu, ogarnęło go jakieś dziwne, nieznane mu dotąd uczucie.

— Jakież świat piękny! — zawołał w duszy, i zapragnął wyciągnąć ramiona aby uchwycić coś drogiego w powietrzu, coś ukochanego przycisnąć do bijącego gorąco serca, zapragnął podzielić się z kim jakąś radością niewysłowioną. Lecz po chwili oczy jego zwilgotniały łzami, nie miał nikogo na świecie, tylko jedną, siwiutką jak gołąbka babunię, która dziś, nie rozumiałaby już może wyrazów jego młodego serca.

Niewysłowiona tęsknota ogarnęła go do nieznanych nigdy rodziców, dziś więcej jak zawsze rwało się w nim serce do matki, do ojca! Jaki on byłby siłny, jak pewny siebie, czując nad sobą taką opiekę kochającą i tkliwą, a dziś sam sierota, który musi już myśleć o sobie, mając lat czternaście.

Z funduszu babki utrzymać się niepodobna, wyprzedał już wszystko, wszystko co tylko spieniężyć się dało, ostatecznie poszedł do ludzi i zegarek po ojcu, który mu babka na pamiątkę jedyną zostawić chciała, ale i tego trzeba się było pozbyć, gdy zapotrzebował gwałtownie ubrania.

Wyczerpało się nareszcie wszystko, dziś on musi już myśleć o sobie, a nietylko o sobie, bo ma przecie serdeczny obowiązek opieki nad tą jedyną drogą istotą, bo mimo miłości, rozumiał ile jej był winien.

Chłopiec zamyślił się bardzo głęboko, i może pierwszy raz w życiu mógł myśleć spokojnie i długo, bo w mieście przy swych rozlicznych zajęciach, nie miał na to dość czasu.

Po zachodzie słońca zjechał przed dwór w Kalinkach, a stanąwszy na ganku gdzie było zgromadzonych kilkanaście osób, uczuł się narazie trochę onieśmielonym.

Ale pani domu, podeszła ku niemu i powitała bardzo serdecznie i po macierzyńsku, może odczuła dołą sierocą, którą staczać musiał, on, chłopię młode, taki wydziedziczony.

i kłopotliwe trochę położenie młodego chłopca, znajdującego się wpośród nieznanego towarzystwa.

Gdy Jerzy obejrzał się wokoło przy powitaniu, spostrzegł, że towarzystwo przeważnie składało się z młodych osób i dzieci i zapoznał się odrazu ze wszystkimi.

Państwo Kalińscy, byli to ludzie jeszcze młodzi, posiadali niezbyt wielki folwarczek, na którym trzeba było dobrze pracować, aby starczyć na potrzeby. Że jednak umieli się zastosować do tego co mieli, utrzymywali się więc choć skromnie, ale wygodnie i dostatnio. Mieli tylko dwóch chłopczyków: Kazio lat dziesięć, i Gucio o rok młodszy, rozpieszczeni i psuci trochę przez łagodną matkę, uczyli się dotąd w domu, a przez wakacje Jerzy miał ich przysposobić do gimnazjum, dopełniając, czego im brakowało jeszcze.

Chłopcy uczeni przez kobiety, spoglądali na Jerzego z pewną obawą, i powzięli jakieś wysokie poważanie dla mundurowości i świecących guzików przyszłego nauczyciela.

Z pomiędzy kilku osób obecnych będących na ganku, poznamy się tylko ze Stefanem Doliwą, studentem uniwersytetu z trzeciego kursu prawa. Wyniosła postać młodzieńca, twarz tchnąca dobrocią, wielkie siwe oczy o wilgotnych blaskach, zwróciły na wstępie uwagę Jerzego. Jakieś uczucie ufności pociągnęło go do studenta, zdawało mu się że go zna oddawna, nie umiał sobie wytłómaczyć tej dziwnej sympatyj, która go przejęła od pierwszego wejrzenia. I student życzliwie spoglądał na młodego chłopca, znać było że rozumiał jego zakłopotanie i odgadł, że tenże pierwszy raz znajduje się wśród obcych osób, i to nie w charakterze gościa, co mu jeszcze przykrejszem czyniło położenie.

Zbliżył się więc do niego, i rozpoczął rozmowę z tą serdecznością, która ujmuje i pociąga serca ludzkie.

Po kolacyi wyszli do ogrodu, prowadząc rozmowę jak dobrzy znajomi i Jerzy ani spostrzegł jak otwierał całą duszę młodemu człowiekowi.

Serce jego już oddawna pragnęło ukochać kogoś starszego od siebie, czuł instynktownie potrzebę jakiejś moralnej podpory, jakiegoś przyjaciela, któryby mu wskazał drogi życia i obowiązku. Dotąd nie natrafił na takiego; z wyższych klas uczniowie, wiadomo że uważają to za wielką ujmę dla siebie wdawać się z młodszymi i Jerzy nie miałby śmiałości zaczepić żadnego aby z nim wejść w stosunek poufalej zażyłości, do czego jeszcze przyczyniało się jego położenie. Ubogi, miał tę dumę, aby się nie narzucać nikomu.

Łatwo więc zrozumieć, jak sercem całym lgnął do Stefana, prócz babki nikt go jeszcze tak nie traktował serdecznie, nikt ze starszych nie zwracał na niego dotąd uwagi.

Czuł więc niemal wdzięczność dla studenta. Weszli w cieniste szpalery ogrodu, blade światło księżyca przedzierając się przez gałęzie drzew poruszanych wiatrem, tworzyło żywe fantastyczne cienie, zmieniające wolno swe kształty i mimowolnie ulatywała myśl w jakieś światy nieznanne, budząc w sercu uczucia łagodne i smętne.

Tu Jerzy dokończył krótką opowieść swego życia słuchającemu z uwagą Stefanowi, mówił zwięźle, nie rozczulając się zbytecznie nad swem położeniem, i usta nie zadrgały mu skargą na swoje sieroctwo i niedostatek, na walkę z losem

Nie skarżył się, dopiero wspomnienie babki, która tyle teraz znieść musi tęsknoty z przyczyny rozłączenia z nim, wywołała w chłopcu rozrzewnienie, i oczy zaćmiły mu łzy, które daremnie chciał ukryć.

Stefan położył rękę na ramieniu chłopca.

— Nie wstydź się łez takich mój bracie, nie one to przynoszą ujmę charakterowi mężczyzny — mówił miękkin głosen — mężczyźni ty masz serce wstępując z odwagą na drogę życia o własnych siłach, choć zapłakać umiesz, aniżeli niejeden, któryby za słabość uważał łzę w oku, wywołaną miłością wdzięcznego serca, troską o los ukochanych, a pędząc życie w dostatkach, wygodach, bez niepokoju o jutro, sądzi się być bohaterem, że nie zapłakał nigdy.

— Ach! — zawołał Jerzy gorąco — ta babka to jedyne ukochanie moje na świecie! Przez całe życie sobie od ust odejmowała abym ja głodu nie czuł, a dziś, i ona cierpi niedostatek, a ja taki jeszcze niedołężny, że jej nic dać nie mogę. Praca moja ledwie mnie okrywa, a przyszłość taka jeszcze daleka.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA Z LITER.

Ułożyć znane przysłowie z liter, których powtórzenie oznacza obok postawiona liczba: — 6 L — 3 a — 4 e — 2 d — 4 i — 2 w — 3 o — 2 u — 2 z — 1 m — 1 n — 1 c — 1 h.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab: Di — dy — do — — e — fez — mi — er — do — me — na — na — mel — ob — o — pi — ri — ra — do — wa — ro — ułożyć wyrazy, których znaczenie: 1. Imię założycielki Kartaginy. 2. Zatoka w Japonii. 3. Nazwa niem. rzeki wpad. do odnogi Kurańskiej. 4. Jeden z cudów świata starożytnego. 5. Osada grecka w Azji Mniejszej. 6. Najślawniejsza wyrocznia Jowisza. 7. Poboczna rzeka płynąca w Holandyi. 8. Rzeka w Syberyi Azyatyckiej.

Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą nazwę monarchy niedawno zmarłego, a końcowe z dołu na górę, nazwę państwa którem rządził.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go

Szarady: A — tom.

Łamigłównki na choince:

Chwała Panu na Wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

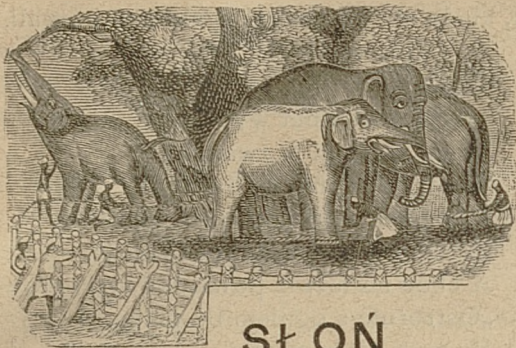
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4 k. 10, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 k. 10 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurowisko Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

REŚC: Czarodziejski kapelusz (drzew.) — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego. — Z dziejów króla migdałowego p. Halinę Tokarzewską. — Jasełka i szopki (z drzew.) — O własnych siłach, p. Bronisławę Porawską. Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Słoń p. Maryę Weryho (z drzew.) — Złośliwa swawola, wiersz p. A. P. — Dzieci w mieście. — Odwaga i zuchwałstwo p. M. P. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.



SŁOŃ.

— O jej, jaki potwór tu stoi! Moja mateczko, nie podchodźmy do tego zwierzęcia, bo nas ugryzie!

W ten sposób wykrzykiwała mała Jania w ogrodzie zoologicznym, kiedy z mamą zbliżała się do słonia. Mama się roześmiała.

— Jakaś ty niemądra! — rzekła — obawiasz się najłagodniejszego stworzenia.

— Pocóż on tak swą trąbę ku nam wysuwa?

— Bo sądzi, że mu co damy.

Mama sięgła do woreczka, wydołała z niego jabłko i pokazała słoniowi. Zwierz wysunął jak mógł swą trąbę w kierunku jabłka i bardzo zręcznie wziął owoc z ręki. Później Jania rzuciła mu drugie jabłko na ziemię; słoń podniósł je szybko. Jania oswoiła się zupełnie ze zwierzęciem i zaczęła mu się bacznie przyglądać.

— Mamusiu, na co słoniowi takie kły duże, jeżeli on jest łagodnym i dobrem stworzeniem?

— Kły, moje dziecko, potrzebne mu są do przenoszenia ciężarów, do kopania dołów, do odrywania korzeni; no, a jak kto napada na niego, to się nimi broni.

Największą jednak siłę słoń ma w trąbie. Chodząc po lesie z wielką łatwością obłamuje nią drzewa i gałęzie, które mu za pożywienie służą. Ciekawem jest bardzo pożycie słoni.

Zwierzęta te gromadzą się w stada, czasem do 200 razem; wybierają z pomiędzy siebie wodza i słuchają go we wszystkim. Zostaje nim słoń najroztropniejszy.

Ma też on nie mało roboty: czuwa nad całym towarzystwem, wybiera w lesie najdogodniejsze miejsce pobytu i w razie napaści broni swych towarzyszy. Słoń należy do zwierząt bardzo zmyślnych i wiele ludziom usług wyświadcza. Oswaja się prędko, a słucha i rozumie każde słowo swego pana. Słoń wyuczony ciągnie wozy, przenosi ciężary, uczestniczy w łowach a czasem wraz z człowiekiem bierze udział w wojnie. Jest przytem bardzo wytrzymały i cierpliwy, ale rzadko kiedy przebacza krzywdy doznane.

W pewnej wsi indyjskiej był słoń oswojony. Co rano zabierał trąbą wiadro i przynosił wody z pobliskiej wsi! Znali i lubili wszyscy to dobre zwierzę. Pewien szewc szczególnie dużo mu okazywał przyjaźni. Słoń wiedział o tem; często zatrzymywał się przy okniei

rzemieślnika, wsuwał trąbę, oglądał się po pokoju, czasem dostawał co do zjedzenia i odchodził z powrotem.

Pewnego razu syn szewca, mały chłopiec, chciał spłatać figła słoniowi. Gdy zobaczył w oknie trąbę słonia, ukłął go silnie igłą.

Słoń prędko zawrócił, poszedł do stawu nabrał w trąbę wody i przyszedł znów pod okno.

— A czego tu sobie życzy pan słoń? — pyta swawolnik — czy dobrze igła smakowała?

Słoń wtedy skierował ku niemu swą trąbę i oblał go wodą.

— Piękne za nadobne! — rzekł ojciec do syna.

Historyjkę tę o słoniu opowiedziała mama swej córeczce Jani, wracając z ogrodu zoologicznego.

Maryu Weryho.

DZIECI W MIEŚCIE.



Marynia, Kazia i Józia nigdy jeszcze w mieście nie były, mieszkały na wsi, jeździły tylko kilkakrotnie do pobliskiego miasteczka. Wielka to radość była dla dzieci, gdy mama powiedziała im, że na całą zimę pojedą do Warszawy. Mama zaczęła pakować różne rzeczy i naza jutrz wszyscy już siedzieli w karecie. Droga prowadziła przez to samo miasteczko, później skręcili w boczną drogę i zajechali do stacyi, z której mieli

dojechać pociągiem do Warszawy.

— Czy prędko przyjdzie pociąg? — zapytała mama numerowego.

— Za pięć minut — odrzekł tenże.

— Dobrze, żeśmy się nie spóźnili — mówiła matka do dzieci.

Po pięciu minutach właśnie nadszedł pociąg. Najpierwej ukazała się lokomotywa buchająca parą, a z małych okienek wagonów, wyglądały głowy ciekawych. Pociąg zatrzymał się. Z sali wyszły tłumy ludzi, nasi podróżni stali na platformie. Gdy pociąg stanął, zaczęło krzyczeć, wysiadać, wsiadać, wszyscy tłoczyli się w tę i w tamtą stronę. Mama z dziećmi usiadła w 2-iej klasie, dzieci zapytywały ją o różne rzeczy np.

— Dla czego to dzwonią? I czy konie ciągną ten pociąg?

Tymczasem pociąg ruszył. Zaczęły się znowu pytania, a jakim sposobem ten pociąg jedzie, a dla czego ta para bucha? i wszystko na raz. Po tak ciągłych pytaniach, na które mama odpowiadała, dzieci znużone usnęły. Wtem nagle obudził je odgłos świstawki, później silne dzwonienie. Pierwsza obudziła się Józia, i zobaczyła światelko palące się w kącie wagonu, oraz usłyszała wołanie: „Wołomin, trzy minuty.” „Czy to już nie dłużej Warszawa?” pytały dzieci budząc się. Mama odpowiedziała:

— Już niedługo, zaraz pierwsza stacya.

— Ale to jeszcze nie Warszawa? — spytała ziewając Kazia. — Pociąg ruszył i znowu jechano dalej.

Mama zaczęła ubierać dzieci i czesała im włosy grzebykiem.

— Otóż i Warszawa! — rzekła, wskazując na różne światelka ukazujące się w oddaleniu.

Nagle dało się słyszeć gwizdnięcie lokomotywy, potem odgłos dzwonka i pociąg stanął. Kazia chciała wysiąść, ale mama powiedziała:

— Czekaj, niech przyjdzie numerowy i zabierze nasze rzeczy.

— I gdzież on je zabierze? — wykrzyknęła z rozpaczą Józia.

— Przecież on nie chce ich sobie zabierać—odrzekła Marynia. — Zaniesie je do karetki. Wszedł też numerowy, zabrał rzeczy i pomógł dzieciom wysiąść z wagonu. Wszyscy weszli do sali gdzie stało rzędem dużo ludzi wołając z całych sił: „Europejski! Polski! Krakowski! Paryski! Rzymski!” „Karetki!” wołali z drugiej strony stojący stangreci. Dzieci przerażone tym krzykiem, stały spokojnie przy mamie, bojąc się słowa przemówić. Mama zwróciła się do jednego z tych ludzi. „Proszę o numer karetki, jadę na Marszałkowską ulicę, Nr. 30”. Woźnica zadowolony odszedł, a mama podążyła za nim. Dzieci otaczały ją. Za rękę trzymała Marynię, a zobaczywszy że karetki dobra i wygodna, wsiadła do niej razem z dziećmi, przy niesionym kufer, ruszono przez Pragę na most i z łaskotem wjechano do Warszawy. „Mamo! mammo! Cóż za dziwny powóz—rzekła Kazia pokazując na tramwaj, a jak tu dużo ludzi, domów!” Wreszcie zajechano na ulicę Marszałkowską. Mama zapłaciła stangretowi, i weszli do wielkiej bramy, na schody, aż na 2 piętro, które gaz oświecał. Zadzwoniono do drzwi. Otworzyła je służąca w białym fartuszkach, a za nią ukazała się ciocia.

— A! przyjechaliście! — zawołała — jak się masz Jadwinieczko!

— Ciociu, ciociu, jak się ciocia ma! — wołały dzieci. — Jak się macie — mówiła znowu ciocia całując dzieci każde z osobna. — Chodźcie jeść i pić herbatę, są świeżutkie bułki i masło, musicie być głodni i spragnieni, a i ciastka są dobre.—Dzieci wszakże pobiegły pierwiej do okna patrzeć na ruch uliczny, który je bardzo zaciekawiał. Patrzyły jak mijały się ciągle powozy z latarniami, a i ludzi było dość na chodnikach, potem zaczęły oglądać mieszkanie cioci, która je wszędzie sama oprowadzała, a wreszcie zapytywały ją o to i owo, a gdy im obiecała że na drugi dzień sama pójdzie z niemi na spa-

cer i zaprowadzi do gabinetu zoologicznego, nie posiadały się z radości i długo zasnąć nie mogły.

ZŁOŚLIWA SWAWOLA.

Raz, kiedy się już wszyscy w domu pospali,
Złościcy mali,

Czuwający tylko sami,
Ze swawoli wnet wypadli
Z rozpalonemi żagwiami.
Na strych domu się zakradli,
Aby puszczyki do ucieczki zmusić,
Albo olśnione wyłapać i zdusić.
A choć im nieraz powiadali starzy:

„Ostrożnie z ogniem bo parzy,
Bo mała iskra wielki pożar nieci”.
Nie zważały na to dzieci,
Bo zwykle głos starszych miały za nic,
I w samowoli nie znały granic;
I radę, że puszczyki z poddasza
Żagiew wystrasza.

Póty tam wszystkie płądrowały kąty,
Aż się zajęły stare, suche gonty
I w oka mgnieniu

Cały dach stanął w płomieniu!
I dom by cały poszedł z dymem pewno;
Lecz w tejże chwili, jak gdyby cud Boski,
Spuścił nań chmurę ulewną,

A lud wszystek z bliskiej wioski,
Zbiegłszy się by ratować swe poczciwe pany,
Z nimi i z wierną ich gromadką wspólną,
Zgasił ogień, co ową zlewą hamowany,
Szczyt tylko gmachu obrócił w popioły
I dymem okopcił ściany.
Panicze, sprawcy tej trwogi i szkody,
Przestraszeni, osmoleni,
Głową ze strychu policzywszy schody,
I stoczywszy się do ziemi
Ztamtąd schyłkiem, na czworakach,
Zbiegli i ze wstydem w krzakach
Przesiedzieli aż do chwili,
Gdy starsi ogień zgasili.

A. P.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

— O! to zupełnie co innego! ale mama nigdy nie nazwie odważnym człowieka, który się lęka, aby go powóz nie przejechał.

— Wiesz co? — rzekła mama z uśmiechem — i ja bym nie chciała, żeby mi się podobny wypadek wydarzył, a przecież bojaźliwą nie jestem.

Lucia zasnęła na kolanach mamy, Julek leżał na białym puszystym dywanie przed kominkiem i patrzył przed siebie, a ogień odbijał się w jego dużych oczach,

ja zaś klęczałem przy mamy fotelu i broniąc z zapalem swojego zdania zaplatałem w warkoczyk frendzle jej sukni.

— Mama nie rozumie co ja chciałem powiedzieć.

— I owszem, rozumiem doskonale, ale może mam inne pojęcie o odwadze niż ty.

— Ale mam, ja myślę...

— Tak... tobie się zdaje, że człowiek, który włoży głowę w lwią paszczę, albo wskoczy bez powodu do palącego się domu, da tem samem dowód wielkiej odwagi; a jabym tego znów nie nazwała odwagą ale szaleństwem.

— Więc mama nie chce żebyśmy byli odważni?

— Przeciwnie, mój chłopcze, bardzo tego pragnę i codzień proszę Boga, żeby z was zrobił dzielnych i zanych ludzi.

— Niech mi więc mama powie, co mama nazywa odwagą?

— Odważnym jest każdy, kto spokojnie stawia czoło niebezpieczeństwu, ale sam się na nie ślepo nie naraża. Wiesz Tomku, że nie ten jest najlepszym wodzem, który się przebije przez wrogów gdy go otoczą i zniecka napadną, ale ten, który nie da się nieprzyjacielowi ani okrążyć ani podejść. I nieraz zdarza się, że ludzie wcale nie odważni, ale tylko nierozsądni mają najwięcej przygód w życiu. Przytem, mój chłopcze, odwaga powinna mieć swój cel, bo narażenie się na niebezpieczeństwa bez powodu, dowodzi tylko braku zastanowienia. Czy mię dobrze rozumiesz?

— Tak, ale niezupełnie.

— A więc uważaj: Człowiek, który w czasie burzy wypłyne na morze aby ratować załogę tonącego okrętu, jest odważnym; ale człowiek który w burzę puszcza się na pełne morze, dla tego jedynie że wyprawa taka jest niebezpieczną, daje dowód zuchwalstwa.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Wziąłem delikatną, białą rękę mamy, zsunąłem z jej palców wszystkie pierścionki, i nałożyłem je na swoją czarną, opaloną łapę. Mama znowu zaczęła mówić:

— Tak, przy pomocy Bożej, wyrośniecie obaj na dzielnych ludzi i kiedyś mamą opiekować się będziecie; zresztą i bez tego, zdarzy się wam nieraz sposobność do okazania odwagi.

— W jaki sposób? — zapytał Julek blady i drżący na samą myśl, że może być kiedyś narażony na niebezpieczeństwo.

— Będiesz żołnierzem Julku, i postawią ciebie wprost przed armatami. Prawda mamó?

— Nie, nigdy nie będę żołnierzem? — zawołał Julek na wpół z płaczem.

— Już nim jesteś kochanku, i powinienes być do końca życia dzielnym, wytrwałym i wiernym żołnierzem Chrystusa, powinienes mężnie walczyć pod Jego sztandarem i otwarcie wyznawać i głosić Jego zasady i wiarę. Daj Boże abyście byli dobrymi żołnierzami, bo do tej walki wiele odwagi potrzeba. Trudniej zwyciężyć pokusę niż poskromić dzikie zwierzęta, a często powiedziec prawdę więcej nas kosztuje niż stanąć przed wylotem nabitej armaty. Dzielny człowiek zawsze prawdę mówi Tomku, pamiętaj, że tylko tchórze kłamią. Ale

wstawajcie już chłopcy, widzicie, ojciec już przyszedł i Lucia mocno zasnęła. Tomku, nie umiesz jeszcze lekcyj na jutro; naucz się ich dobrze zanim pójdziesz spać, a ja niebawem powrócę, aby cię przesłuchać.

II.

Po tej rozmowie dużo, dużo czasu upłynęło zanim znowu przed kominkiem słuchaliśmy opowiadań i uwag mamy; dlatego może tak ją dobrze pamiętam. Przytem Julek ciągle o niej wspominał, a wypadki, które zaszły w następnych sześciu miesiącach, stanowiące właśnie treść tej książki, uczyniły zrozumiałem i jasnem wszystko co mama mówiła.

Codzień o 9 zrana chodziliśmy do szkoły, jedliśmy tam wczesny obiad i wracali o trzeciej do domu. Następnego dnia po rozmowie z mamą miałem ogromny kłopot z mojami lekcyami, bo wieczorem tak mi się spać chciało, że zapomniałem się nauczyć i wtedy dopiero zacząłem o nich myśleć jak nauczyciel wyrwał mię z historyi, a ja nic a nic nie umiałem. Kazano mi siedzieć w klasie podczas gdy inni chłopcy bawili się w piłkę na podwórzu, a gdy o trzeciej wypuszczono mię nareszcie z mojego więzienia, obaj spiesznie poszliśmy do domu.

Wchodząc na podwórze zdziwieni byliśmy ujrawszy ojca wyglądającego przez okno jadalnego pokoju, bo o tej godzinie zazwyczaj był jeszcze zajęty w biurze; sam nam drzwi otworzył, ale nie pozwolił biedz wprost do dziecinnego pokoju, lecz kazał iść za sobą do sali jadalnej, gdzie na podłodze przy drzwiach zobaczyliśmy tłomoczek podróży a na nim przyklejony papier z napisem: „Master Carter do Silverhill”. Nie pamiętam czym już powiedział że nazwisko ojca było Carter, więc „Master Carter” mógł być tylko Julek albo ja. Dla tego też obaj patrzyliśmy z wielkiem zdziwieniem to na tłomoczek, to na siebie, to na ojca.

Ojciec tymczasem usiadł na fotelu i zawołał nas do siebie. Powiedział nam że Lucia zachorowała na szkarlatynę i doktor utrzymuje że to jest zaraźliwa choroba, a ponieważ ani Julek ani ja nigdy jej nie mieliśmy, mamy pojechać zaraz dzisiaj do Silverhill, gdzie nas przyjmą dobrzy, poczciwi dzierżawcy, którzy znali ojca, gdy był jeszcze małym chłopcem, i będą się nami opiekowali aż Lucia wyzdrowieje i wszelkie niebezpieczeństwo przeminie.

— Ani mama, ani ja nie mogę z wami pojechać, — mówił ojciec — ale jesteście już duże chłopaki, i spodziewam się że będziecie się dobrze sprawowali i słuchali pani Blossom, tak jakbyście rodziców słuchali.

Ojciec dawał nam jeszcze wiele przestroóg i dodał w końcu, że mama nie przyjdzie się z nami pożegnać, bo jest przy chorej Luci i mogłaby nam przynieść zarazę. W tej chwili powóz zaszedł, służąca wyniosła nasz tłomoczek i już mieliśmy wsiadać gdy usłyszałem, że ktoś mię zawołał po imieniu. Odwróciłem głowę i ujrzałem mamę stojącą na samym wierzchu schodów.

— Nie zbliżajcie się do mnie moje dzieci — powiedziała mama — ale nle mogłam was puścić bez pożegnania i błogosławieństwa. Bądźcie zawsze dobrymi, poczciwymi chłopcami. Pamiętaj Tomku, że odwaga i zuchwalstwo to dwie zupełnie różne rzeczy.

Było to jednak więcej niżem mógł znieść. Widzieć mamę na szczycie schodów i słyszeć jak się z daleka z nami żegnała, przenosiło moje siły. Zanim więc mówić przestała, wleciałem jak szalony na górę przeskakując po cztery stopnie na raz, zarzuciłem jej ręce na szyję wołając: „Do widzenia mamó, do widzenia, ja się nic a nic nie boję szkarlatyny”. Ale mama patrzyła na mnie smutna i niezadowolona, odjęła moje ręce od swojej szyi i kazała mi natychmiast zejść na dół. Z daleka jeszcze posyłała ręką pocałunki Julkowi, który stał pod ścianą blady i drżący, i powiedziała: „Do widzenia ci Julku, pocciwy, odważny chłopcze. Chwilę później jechaliśmy na stację kolei, z ojcem który nas sam chciał wsadzić do wagonu.

(d. c. n.)

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Dwie zgłoski, czytaj razem wprost, albo od końca
Wszystko, wszystkich dostrzeżę w blasku ognia, słońca;
Jedno tylko wciąż jasne, tam na wysokości,
Przenika noc i ducha najgłębsze ciemności.

Zabawa z patyczków.

Z 8-miu patyczków równej długości ułożyć wielkimi, drukowanymi literami wyrazy, których znaczenie:
1. Nazwa uprawionej ziemi. 2. Zaimek wskazujący.
3. Przymiotnik. 4. Gruby powróż. 5. Pieszczotliwa nazwa członka rodziny. 6. Kwiat z rodziny cebulowatych.
7. Przeciąg czasu w liczb. mn. 8. Przymiotnik. 9. Ulewny deszcz. 10. Kwiaty z rodziny krzyżowych zwane także żółte fiołki. 11. Roślina z rodziny lenowatych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Łamigłówki sylabowej:

1. LikeoS. 1. IturuP. 3. KumA. 4. UlsteR. 5. RabaT.
6. Grenada.

Likurg — Sparta.

Skrzynka do listów.

Rs. 21 oddane stosownie do życzenia U. z K., którą prosimy o adres dla przesłania szczegółowego rachunku.

Pani Kudr. serdecznie wdzięczni jesteśmy za słowo zachęty i uznania, najmilsza to nagroda naszej pracy. Żądane numera „Zwalzonego uprzedzenia”, już zostały przesłane, nic się za nie nie należy. Za przesyłkę w imieniu obdarowanych serdecznie dziękujemy.

Za przesyłkę podobną nie mniej wdzięczni jesteśmy Ułance M. Rosicze z nad rowu, Maniusi, Jadzi i Zosi.

Kochanym korespondentom naszym, którzy nadesłali nam opłatki wraz z życzeniem Świąt wesołych serdecznie dziękujemy za pamięć o nas i nawzajem przesyłamy im życzenia. Niech rosną szczęśliwie i zdrowo na chwałę Bogu. W imieniu ubogich dzieci dziękujemy także wszystkim, którzy o nich pamiętali.

Nowa korespondentka, Śnieżka z nad Czarnej, w tak ślicznych, tak serdecznie dobranych wyrazach wypowiedziała nam ży-

czenia swoje, że jej osobno zasylamy podziękowanie. Dziewięcioletnia dziewczynka, która „czuje, że powinna pokonać nieśmiałość, aby podziękować tym, którzy układają kochane Wieczory” rokuje, że na przyszłość i w ważniejszych rzeczach także się pokonywać potrafi.

A co, widzisz, Łodyżko, że Redakcja ani tak jest surową, ani tak wymagającą, jak ci się zdawało!

Żabce nadodrzańskiej oraz jej braciszce Komarowi serdecznie pragnęlibyśmy dogodzić i uczynimy zadość ich życzeniu skoro tylko autorka podaży opisać dalsze przygody Luci i Józia.

Góralce z całego serca życzymy pomyślnego zdania egzaminu i prosimy, niech dotrzyma obietnicy, niech zawsze życzliwie wspomina te, które dla całej waszej gromadki, droga dziatwo, żywią macierzyńskie uczucie. Numer żądany wysyłamy.

Ułance oprócz podziękowania za pamięć o „ubogich” osobno jeszcze dziękujemy za to, że poprawnie wyrażać się umie. Wspiera się ubogich tylko; biednymi zaś bywają często ludzie wcale nie potrzebujący wsparcia. Mieszanie dwóch tych pojęć jest błędem bardzo u nas zakorzenionym, a wystrzegać się go należy, dla czegoż bowiem dobrowolnie ubożyć język w którym na każdy odcień myśli, znajdzie się osobny wyraz.

Prawdo kochana, masz szczególny dar trafiania nam wprost do serca. W samej rzeczy, marzyć nawet nie możemy o wspólniejszej nagrodzie za naszą pracę: przyczynić się, o ile w naszej jest mocy do zrobienia z was zacnych, użytecznych ludzi — to jedyne nasze pragnienie, a kto je pojął, ten przez to samo daje nam dowód, że je spełni.

Nie mylisz się, Gamo C-dur, pseudonym twój stoi w rzędzie zasługujących na pochlebną wzmiankę. Nie pierwszy to raz; dla czegoż tak się temu dziwisz, nowo-mianowana staruszek? Mamy nadzieję, że dotrzymasz obietnicy i należec będziesz do konkursu, który ogłosimy dla sędziwych naszych przyjaciółek.

Kuropatewko z nad Warty, za „ucałowanie rączek” przesyłamy „małej dziewczynce” serdeczne uściśnienia.

Kosodrzewina z Babiej-góry musi się zastosować do warunków podanych w kalendarzyku, gdyż nie jest to konkurs Redakcji. Te malutkie paluszki pięcioletniej siostrzyczki, które już się biorą do szycia sukienki dla ubożego dziecka, warte są nagrody i nie wątpimy że ją otrzymają.

Sarence Lubelskiej wysyłamy nagrodę, zawsze jednak prosimy, aby kochani korespondenci starali się sami je odbierać.

„Nieznamą Pani” odwzajemnia Horpynie szczerą sympatyę i prosi by podziękować w jej imieniu za życzenia jakie jej Horpyna przesyła.

Prymulko droga, chcielibyśmy zadość uczynić twemu żądaniu, ale nie wszystko zrobić można, coby się zrobić pragnęło.

Wróżbiarko szczęścia, umiesz przemawiać tak serdecznymi słowami, że najwymowniejszą odpowiedzią na nie jest szczerzy uścisk macierzyński.

Jaśko Warszawiak, miły i zasłużony korespondent przedstawia nam siostrzyczkę swoją, Skrzętną Pszczółkę, którą życzliwie witamy. Łamigłówka, którą J. W. nam przysłał, dobrą jest, lecz nie do druku; powiastkę chętnie przeczytamy. Rozwiązanie łamigłówki trafne.

Konwalijsce damy stanowczą odpowiedź po przeczytaniu łamigłówki, w wolnej chwili.

Guciu R. i twoja łamigłówka także nie nadaje się do druku. Przypominamy przytem kochanym korespondentom, że łamigłówki, liściki, szarady i t. p. muszą być pisane na osobnych karteczkach.

Muszeko z nad Wieprza, ślicznie piszesz w dwóch liniijkach, ale... zastosuj to przypomnienie do siebie.

Szan. p. Sok. sprawiła nam prawdziwą przyjemność wiadomościami, których nam udziela o swoich dziewczynkach. Słusznie czyni Szan. Pani dbając o kształtność pisma Maryni; przymiot to niezmiernie pożądanym, a coraz rzadszy. Małej Maryni, w zamian za życzenia przesyłamy uścisk.